U progu bankructwa trwa bal

7 lipca 2024

Po kolejnych igrzyskach dla euroludu – tych w postaci masowych „demokratycznych” wyborów do parlamentu UE oraz piłkarskich igrzysk w Niemczech – w Europie nadchodzi czas ekonomicznej i finansowej prawdy. Przede wszystkim prawdy dla już ogromnie zadłużonych największych państw Eurosowchozu.

Piłkarscy kibice nadal bawią się i emocjonują na mistrzostwach w Niemczech, a inni „obywatele Unii Europejskiej” m.in. na występach estradowych gwiazdek. Tymczasem czerwcowe dane z gospodarek krajów UE okazują się generalnie jeszcze słabsze niż miesiąc wcześniej. Wstępne odczyty wskaźników PMI za czerwiec – te dla przemysłu i te dla sfery usług – okazały się ponoć „sporym rozczarowaniem”. Gorzej od wcześniejszych prognoz wypadły między innymi dane z gospodarki Niemiec, ale też z Francji i z tzw. strefy waluty euro jako całości.

Wskaźnik PMI dla przemysłu całej tej strefy wyniósł raptem 45,6 pkt. – wobec oczekiwanych wcześniej 47,9 pkt. i 47,3 pkt. odnotowanych w maju. Trwa więc recesja bądź stagnacja w przemyśle, budownictwie i transporcie większości krajów Eurosowchozu. W niemal całej Europie nadal maleje poziom faktycznych inwestycji i produkcji przemysłowej oraz produkcji rolnej, a nadal rośnie unijna i krajowa biurokracja, liczba urzędników i ich milionów ingerencji w prace i plany firm. Nieustannie rośnie także poziom wydatków niemal wszystkich rządów i urzędów krajów UE na wszelakie „świadczenia socjalne”, na kilkadziesiąt milionów imigrantów, azylantów i „uchodźców” wszelkich kategorii, na szaloną i marnotrawną „politykę klimatyczną” itp. wynalazki, eksperymenty i radosne „projekty” wszelakiej złodziejskiej lewicy i eurokomuny – rządzącej w niemal wszystkich krajach UE i w samej unijnej Brukseli. Każdego dnia rosną więc długi 27 krajów członkowskich UE i samych władz UE.

Przypomnijmy: dług publiczny coraz bardziej socjalistycznej i etatystycznej Republiki Francuskiej już zbliża się do poziomu 3300 miliardów euro, dług państwowy Niemiec przekroczył już jesienią ub. roku poziom 2500 miliardów euro, a dług już finansowo zrujnowanego „postępowego" państwa włoskiego przekroczył poziom 3000 miliardów euro i aż 147 proc. włoskiego PKB. Tylko niewiele lepiej jest pod tym względem (w proporcji do ich PKB) w eurosocjalistycznej Hiszpanii, Portugalii i Belgii. Wiele wskazuje na to, że Republika Włoska, obecnie chyba najbardziej zagrożona finansową upadłością wśród „demokratycznych" republik eurokomuny, jest już w stanie tylko niewiele lepszym niż bankrutująca Grecja w latach 2009-2010. To zapewne dlatego premier „prawicowego" rządu Włoch jest w ostatnich miesiącach tak niezwykle i dziwnie „elastyczna", ugodowa i już politycznie „poprawna" w swej polityce i retoryce wobec władz i organów UE, USA, Izraela, Rosji i MFW.

Eurokomunistom już bardzo brakuje pieniędzy

Tymczasem rządzącym tzw. Unią Europejską różnym eurokomunistom, tj. postchadekom z Niemiec i innych krajów, socjalistom, lewicowym liberałom, zielonym i innym lewakom i zboczeńcom, już co najmniej od ubiegłego roku brakuje bardzo dużo pieniędzy, tj. kolejnych setek miliardów euro, na dalsze forsowanie ich „zielonego ładu", ich „polityki klimatycznej", socjalnej, imigracyjnej itd. Więc od kilku miesięcy kombinują oni usilnie, aby forsować kolejne „wspólne pożyczki krajów UE", czyli „wspólne długi". Już im nie wystarczają dotychczasowe „wspólne długi" – te zaciągnięte w latach 2021-2023 na „rynkach finansowych" (czyli u międzynarodowych lichwiarzy) na ich „plany odbudowy", tj. na fatalne KPO i inne takie. Należy przypomnieć, że te „wspólne" pożyczki władz UE, w łącznej dotychczasowej wysokości już ponad 870 miliardów euro, będą musieli spłacać wszyscy „obywatele Europy", tj.

obecni i przyszli podatnicy, w tym wszyscy pracownicy najemni, nauczyciele i emeryci. A te „wspólne” pożyczki mają być przeznaczone w większości wcale nie na jakąś faktyczną odbudowę krajów Europy po epoce marnotrawnego biurokratycznego eurosocjalizmu z lat 1994-2023. I po okresie odgórnego ograniczania i zamykania całych sektorów gospodarek w latach 2020-2022. Mają być bowiem przeznaczone na kolejne „transformacje klimatyczne”, energetyczne, „cyfrowe” (tj. kontrolno-inwigilacyjne) itp. „zielone”, „postępowe” i neoradzieckie cele. Więc teraz rządzący UE eurokomuniści chcą zaciągnąć kolejne wielkie „wspólne pożyczki”, żeby dalej forsować ww. i inne swoje absurdalne i chore projekty. I realizować swoje eurokomunistyczne cele ideologiczne. Ci eurokomuniści, jak np. komisarz Paolo Gentiloni, były wieloletni członek włoskiej partii komunistycznej, a potem „demokratyczno”-postkomunistycznej, nie mówią już przy tym tylko, jak w latach ubiegłych, o euroobligacjach czy o wielkich pożyczkach na ich „plany odbudowy”, ale domagają się także między innymi „wspólnych narzędzi” do realizacji wspólnych celów „inwestycyjnych”. Tj. kolejnych setek miliardów euro na rozbudowę tzw. przez nich odnawialnych źródeł energii, na „walkę ze zmianami klimatu”, programy socjalne, na „cyfryzację” [tj. powszechną kontrolę i inwigilację ludzi i firm] itd.

Od kilkunastu lat napotykali oni jednak, na nasze szczęście, między innymi na tę trudność, że do roku co najmniej 2020 niemal każde państwo UE, za wyjątkiem ściśle nadzorowanej Grecji i Cypru, starało się trzymać własnych zasad fiskalnych i finansowych, własnego nadzoru nad rynkiem kapitałowym i własnych narzędzi finansowo-oszczędnościowych. A teraz niestety już nie każde. Większość wśród mocno zadłużonych rządów i landów Eurosowchozu wydaje się być już gotowa do tego, jak Grecja w roku 2010, aby oddać się już całkowicie w finansową i dłużniczą niewolę unijnej Brukseli, Międzynarodowemu Funduszowi Walutowemu, największym bankom i całej eurokomunie, byle tylko szybko dostać z kolejnych

„europejskich” pożyczek, choć parę miliardów euro na swoje bieżące i coraz większe wydatki. I jakoś dotrwać przy korycie władzy i pieniędzy do końca swej „demokratycznej” kadencji i w kolejnych wyborach wywalczyć kolejny dostęp do budżetowego koryta. Na szczęście dla narodów Europy, od lat oszukiwanych przez rządzących i wielkie media, niektóre rządy i państwa UE, w tym Niemcy, Austria, Holandia, Szwecja i Finlandia (jeszcze na razie) sprzeciwiają się takim żądaniom zaciągania kolejnych wielkich „wspólnych długów”. Obawiają się bowiem, że kiedyś te kolejne „wspólne długi” będą musieli spłacać międzynarodowym lichwiarzom przede wszystkim ich rządy, tj. ich budżety i ich podatnicy. Ponadto wówczas dotychczasowa kredytowa wiarygodność Niemiec czy Holandii „na rynkach” mogłaby znacznie ucierpieć – gdyby te państwa zadłużyły się w ramach UE kolejny raz i na jeszcze większą skalę.

Jedyny finansowy pomysł eurokomuny: nowe i większe podatki

W związku z tym różni eurokomuniści z innych krajów UE niż ci trochę „oszczędni” z ww. krajów (dawniej) germańskich i dziś jeszcze bogatych, w tym przede wszystkim ci z Paryża, Brukseli, Rzymu, Mediolanu czy Madrytu, już mocno kombinują, skąd wziąć i to możliwie szybko kolejne setki miliardów euro rocznie, aby kontynuować i rozwijać swoje „postępowe” projekty „zielone”, imigracyjne itd. Prawdopodobnie myślą przede wszystkim o wprowadzeniu w całym Eurosowchozie „podatku od majątku”. Np. niejaka Julia Cagé, „profesor ekonomii w renomowanym Instytucie Nauk Politycznych w Paryżu radzi zatem, aby szukając źródeł finansowania, nie zapominać o tych, którzy mają dużo więcej pieniędzy od innych: o bogatych i superbogatych w Europie”. Ww. i innym lewakom chodzi głównie o „podatek od wielkich fortun nakładany bezpośrednio przez władze UE”, co by „utrudniło krezusom jego uniknięcie”. – „Musimy to zrobić na szczeblu europejskim, ponieważ nie będzie wielu ludzi, którzy naprawdę chcieliby opuścić obszar Unii

Europejskiej z tego powodu” – powiedziała Cagé w rozmowie z niemiecką redakcją Deutsche Welle. I dodała: „Oczywiście wielu bogatych wolałoby nie płacić tego podatku. Ale gdyby to oznaczało utratę obywatelstwa UE, to sytuacja z pewnością byłaby inna. Potrzebne są zatem ścisłe kontrole, sankcje i sprawna administracja finansowa”. Jawohl!

No i już wszystko jasne – trzeba koniecznie przycisnąć i opodatkować bogatych i wycisnąć z nich tyle, ile się da. A jak któryś już nie wytrzyma w tej eurokomunistycznej Unii Europejskiej i pojedzie sobie gdzieś w bardziej wolny świat, to krzyżyk mu na drogę (a raczej nie krzyżyk, lecz żółto-masońsko-żydowskie gwiazdki na niebieskim tle). Wunderbar! Ww. eurokomunistka z Paryża oznajmiła też, że „ludzie zamożni powinni również w większym stopniu uczestniczyć w kosztach walki ze zmianami klimatu”. Bo „wiele badań, w tym te przeprowadzone przez World Inequality Lab, wykazało, że bogaci dużo bardziej obciążają środowisko niż biedni”. Gdyż ich „coraz większe samochody, domy, jachty i samoloty prowadzą do znacznie wyższych emisji dwutlenku węgla”. Więc taki „podatek środowiskowy, który zwiększa się wraz ze wzrostem śladu węglowego, pozwoliłby bogatym na bardziej odpowiedni udział w finansowaniu transformacji energetycznej – analogicznie do progresywnego podatku dochodowego, w którym stawki podatkowe rosną wraz z dochodem”. W efekcie „byłby to dobry krok w kierunku większej sprawiedliwości w zakresie kosztów klimatycznych”. No ja, naturlich! Super! Oto typowy sposób myślenia i kombinowania eurobolszewików płci obojga.

W unijnej Brukseli, Paryżu czy Berlinie są już także rozpatrywane wyższe podatki akcyzowe, wyższy VAT na paliwa, alkohole, papierosy i inne produkty, kolejne „opłaty” ETS i inne. Grozi więc to, że zanim niewypłacalne staną się kiedyś ww. władze niektórych państw i instytucji UE, to w Europie zbankrutują i upadną kolejne miliony firm, gospodarstw domowych i gospodarstw rolnych. Tak to już jest i tak będzie w eurosocjalizmie Unii Europejskiej – tak ukochanym przez setki

milionów pokomunistycznych i „demokratycznych” baranów z 27 krajów Eurosojuza. Jednym z bardzo wielu świadectw tych zagrożeń jest np. informacja podana 18 czerwca przez dziennik „Handelsblatt”. Według analizy przygotowanej wspólnie przez firmę doradczą Deloitte oraz Federalne Zrzeszenie Niemieckiego Przemysłu (BDI) już połowa ankietowanych niemieckich przedsiębiorców uważa, że praktycznie już nie da się zatrzymać postępującej deindustrializacji i kurczenia się przemysłu Niemiec, czyli procesu stopniowego zanikania głównych gałęzi przemysłu. W reakcji na te zagrożenia coraz więcej firm niemieckich i innych przenosi swoją produkcję za granicę, gdzie koszty energii, pracy i inne koszty są znacząco niższe, a prawne warunki działalności dogodniejsze. Aż 49 proc. pytanych firm przyznało, że już wyprowadziło część swojej produkcji do innego kraju i zamierza dalej tak postępować. Richtig!

Autorstwo: Tomasz Myslek
Źródło: NCzas.info